

Moim Kolorem Będzie Gzerwień



Maciej Gorywoda

Moim Kolorem Ręcznie Gzervień

Tekst: Maciej Gorywoda
Grafika: Nina Garncarczyk

ISBN: 978-83-935358-1-1

DAWNO TEMU W WIŚLECH...

Przybyli w środku zamieci. Chudy, niezwykle wysoki mężczyzna, zawinięty w bezkształtne łachmany, oraz wtulona w niego kobieta w zaawansowanej ciąży. Z głową schowaną pod jego ramieniem, podtrzymywana, a czasem zwyczajnie wleczona po śniegu przez swojego towarzysza, zdawała się nie wiedzieć gdzie się znajduje, ani co się z nią dzieje. W drugiej ręce, tej która nie była mu potrzebna do utrzymywania kobiety w pozycji stojącej, mężczyzna miał kostur wędrowny. Zaciskał na nim zbielełe, przemarznięte palce. Jego rękawica już dawno starła się do postaci zwisającego z nadgarstka brudnego paska materiału.

Uratowały ich psy.

Mikołaj uwielbiał swoją sforę i najchętniej na zimę umieściłby psy w chacie razem z domownikami, lecz żona szybko wybiła mu ten pomysł z głowy. Stanęło na tym, że stary gospodarz ostatnie dni jesieni spędził na zatykaniu dziur w małej, starej szopie, położonej od strony lasu, tuż przy ogrodzeniu. Naprawił strzechę, obłożył ściany workami ze słomą, zabił deskami jedyne okno, a pod kalenicą zamontował niewielkie rusztowanie, na które przeniósł część siana z głównej szopy. Gdy żona i na to zaczęła kręcić nosem, burknął coś o zakupie paru świń na wiosnę i nie odpowiadał na dalsze zaczepki, co od lat już oznaczało, że tym razem zdania nie zmieni.

Wędrowcy, co Mikołaja zdziwiło już w chwili gdy ich zobaczył, nie przybyli od strony wsi. Wyszli prosto z lasu, rzut kamieniem od szopy, w której spały psy. A te, mimo zabitego dechami okna, mimo śnieżycy i wyjącego wiatru, wyczuły ich obecność i rozjazgotały się na całe gospodarstwo.

Po kilku minutach ujadania tak przenikliwego, że nie zagłuszała go wyjąca śnieżycy, Mikołaj wyjrzał na podwórze i zmrużył oczy, starając się dojrzeć cokolwiek przez zasłonę padającego śniegu. Nic nie zobaczył, więc bluznął głośno o potrzebie zamknięcia pysków i wrócił do izby. Psy jednak nie ucichły, a po jazgocie można było wnosić, że nawet otworzyły pyski jeszcze szerzej. Minęło kolejnych parę minut i drzwi otworzyły się ponownie. Mikołaj wyszedł z domu - tym razem ubrany w grubą zimową kurtę i czapkę z niedźwiedzia. Burcząc do siebie pod nosem obszedł zaspę, jaka uformowała się przed schodami i ruszył do szopy. Już miał otwierać drzwi, gdy dostrzegł dwie uczezione płotu sylwetki.

Pół godziny później przybysze siedzieli już przy domowym ognisku, trzęsąc się z zimna, kuląc pod grubymi kocami i prawie wsadzając ręce w ogień. Dwa wielkie kufle grzanego piwa stały obok nich, w połowie opróżnione. Kostur, nie bez trudu oderwany od zgrabiących palców właściciela, został postawiony pod ścianą. Gospodarz i jego żona siedzieli kawałek dalej, przy stole, obrzucając niepewnymi spojrzeniami na przemian tajemniczą parę i siebie nawzajem. W drzwiach izby, przepychając się jedne przez drugiego, czwórka dzieci walczyła o najlepsze miejsca, pozwalające widzieć siedzących przy ogniu mężczyznę i kobietę, a równocześnie samemu nie być zauważonym.

- Do łóżek, ale już. - Mikołajowa zmarszczyła brwi i wstała od stołu. W drzwiach momentalnie zrobiło się pusto, ale tupot czterech par stóp nie trwał długo. Co najwyżej do drzwi drugiego pokoju.

- Pozwólcie im wejść, pani. - odezwała się siedząca przy ogniu kobieta. Głos był cichy i drżący, ale słowa wyraźne.

- Tylko utrapienie z nimi. - Mikołajowa pokręciła głową, chcąc ukryć zdziwienie. Tajemniczy wędrowcy, którzy w środku zimy przychodzą od strony pogranicza, z gór, nie powinni przecież mówić w ludzkim języku. Mikołajowa była wiele razy na dorocznym kiermaszu w Lipowej, na który ściągali ludzie z dalekich osad, a raz nawet, w dzieciństwie, ojciec zabrał ją do odległego o tydzień drogi grodu Trzciny. Widziała tam kupców z innych krain i wiedziała, że jeśli ktoś przybywa z daleka, to mówi inaczej. A już na pewno można było spodziewać się tego od kogoś, kto przez ostatnie pół godziny tylko wodził dookoła błędnymi oczyma.

- Nie przeszkadzają. A widać, że chcą zaspokoić ciekawość. Niech wejdą. Będą miały co opowiadać kolegom aż do wiosny. - odparła kobieta, wbrew rozsądkowi po lechicku, a nie w żadnej zagranicznej gwarze.

- Słyszeli? - burknął Mikołaj, unosząc głowę znad swojej miski rosołu.

Dzieci jak na komendę pojawiły się ponownie w drzwiach izby. Dwóch chłopców, starszy wyglądał na może trzynaście lat, młodszy na jakieś siedem, i dwie dziewczynki. Wyższa dziewczynka miała proste, czarne włosy i ciemne oczy. Wyróżniała się.

- Nie bójcie się. - kobieta uśmiechnęła się niewyraźnie. - Jeśli chcecie, możecie mnie o coś spytać. Na imię mam Irena. A to jest Horacy. Jesteśmy z daleka, ale znamy już trochę wasz język.

Mężczyzna nazwany Horacym spojrzał na dzieci i poruszył ręką, jakby chciał je do siebie przywołać, lecz nie odezwał się ani słowem. Jako pierwszy wszedł do pokoju najstarszy z całej gromadki, jasnowłosego chłopiec o zaciętej minie przywódcy, który musi wykazać się odwagą przed swymi żołnierzami. Po piętach deptał mu młodszy brat. Dziewczynki zostały trochę z tyłu, zwłaszcza czarnowłosa trzymała się w pewnej odległości od pozostałej trójki.

- A ty, Aniela, czego tu? - odezwała się Mikołajowa. - Sprzątaj po obiedzie. Nie dajemy ci jeść za gapienie się na gości.

Mała spuściła wzrok, podeszła do stołu i bez słowa zaczęła zbierać naczynia.

- Ta czarna to nie wasze? - domyśliła się przybyszka.

- Nie, pani, to znajda. - odparła gospodyni. Mikołaj burknął pod nosem coś więcej, ale cicho i niezrozumiale. Jego żona nabrała głośno powietrza w płuca, jakby chciała go uprzedzić, ale że umilkł sam z siebie, to i ona tylko uśmiechnęła się nieprzyjemnie.

Mała ruszyła do drzwi, zręcznie balansując stosem misek i kubków. Przed samym wyjściem obejrzała się na moment. Jej oczy spotkały się ze spojrzeniem tajemniczej kobiety, którą już obsiadła trójka Mikołajowych dzieci, po czym dziewczynka wyszła z izby. W prawie tym samym momencie Irena zgięła się w pół i chwyciła za brzuch. Młodszy chłopczyk, siedzący tuż przed nią, odskoczył ze strachu.

- Przepraszam... to nic poważnego. - wyszeptała, gdy jej mężczyzna objął ją w pasie, wyraźnie zaniepokojony. - Przepraszam, dzieci... Porozmawiamy innym razem. Pozwólcie mi się, pani, gdzieś położyć. Źle się czuję.

Gdy Aniela wstała rano, by nakarmić kury, obcych już nie było.

Stała oparta o ścianę domu, obok Kasi, jedynej córki starego Mikołaja. Przed nimi, wokół zaspy śniegu, młodszy syn gospodarza, Kajtek, uciekał przed starszym, Wojtkiem, drąc się wniebogłosy. Wojtek był dziś, jak zwykle zresztą, bohaterskim wojem kniazia, a Kajtuś tchórzliwym frankijskim rycerzem. Jak było powszechnie wiadomo wśród dzieciarni na całym pograniczu, głównym zajęciem frankijskich rycerzy było darcie się wniebogłosy i uciekanie przed wojskiem kniazia Kraka, niepokonanego władcy Lechii. Rozbieżności z prawdziwą sytuacją w kraju nie miały znaczenia, bo i tak dzieciarnia na pograniczu nie wiedziała, gdzie leży ten cały kraj Franków. Ani też nikogo to nie obchodziło.

- Ten jej mężczyzna to był wielki. - stwierdziła autorytarnie Kasia gdy Kajtek zamilkł na chwilę, by nabrać oddechu. Nagłe pojawienie się, i równie nagłe zniknięcie tajemniczych wędrowców, z miejsca stało się najważniejszym wydarzeniem tej zimy, a kto wie, czy nie całego roku. Co prawda ostatniej wiosny Roch z Lipowej złapał w sidła niedźwiadka i jakiś czas wystawiał go na widowisko, dopóki zwierzę nie zdechło od zakażenia, jakie wdało się w łapę poharataną kłusowniczym drutem. Ale wiosna była dawno temu. Co prawda w rozumieniu dzieci od pamiętnej nocy również minęło już bardzo dużo czasu, bo prawie trzy miesiące, ale z braku lepszych tematów opowieść o wędrowcach wciąż krążyła z ust do ust, nabierając kolorytu. W najnowszej wersji Irena była księżniczką, uciekającą przed swym okrutnym ojcem, który chciał uwięzić ją w wieży za ślub z Horacym. Horacy był potężnym wojownikiem i wiernym obrońcą swej pani.

Aniela z namysłem kopnęła leżący przed sobą kamyk. Przeleciał kilkadziesiąt centymetrów i zniknął w śniegu.

- I dłonie miał takie wielkie. - kontynuowała Kasia, niezrażona. - Pewnie strasznie silny był. Myślisz, że pokonałby tatę, jakby co do czego przyszło?

- Silniejszy nie zawsze wygrywa. - mruknęła Aniela w odpowiedzi. - Pan ojciec na pewno by sobie z nim poradził. Był przecież na wojnie. Na pewno zna sposoby, jak sobie radzić z silniejszym przeciwnikiem.

- Aha. - Kasia zmarszczyła nos. Pomyśl, że jej tata pokonałby tajemniczego przybysza pasował do ogólnej idei taty, który w oczach dziecka był niezaprzeczalnie najlepszy we wszystkim. Ale ten przybysz był ogromny. We wspomnieniach Kasi, tego mroźnego wieczoru, gdy wiatr wył za oknami, a światło świec było przytłumione i niespokojne, sama ręka przybysza była prawie takiej długości jak cała Kasia. - Ale... ale co ty mówisz. Jak to ma być, że silniejszy nie wygrywa. Jeśli przegrał, to znaczy że był słabszy.

Czarnowłosa dziewczynka przez chwilę wykopywała stopą dołek w śniegu, nic nie mówiąc.

- Możesz czasem wykorzystać siłę przeciwnika. - powiedziała, gdy na dnie dołka pojawiła się ziemia i zmrożone żdźbła trawy. - Wiesz, jak ktoś jest za bardzo pewny swojej siły to często robi błędy. Może na przykład uderzyć tak mocno, że straci równowagę, a ty wtedy możesz go popchnąć, żeby upadł. Trzeba tylko trochę sprytu i przewidywania, co taki wielki osiłek zrobi. A oni są... łatwi do przewidzenia.

- A ty skąd to wiesz?

- Bo wiem.
- No ale skąd?
- No bo jestem mądra.
- Pff, głupia jesteś. I tak ci nie wierzę. Co za bzdura. Jak ktoś jest silniejszy to pewnie, że go nie przewrócisz.

Wydzierający się w swoim niezrozumiałym języku rycerz przebiegł tuż przed nimi z mieczem wysoko wzniesionym nad głowę, skręcił w prawo przed zaspą śniegu o mało nie wywalając się na swój rycerski tyłek i ruszył pędem w stronę szopy dla psów. Za nim, również drąc się co sił w płucach, nadbiegł woj Kraka. Zamachnął się mieczem, jakby próbował dosięgnąć rycerza ostrzem, mimo iż miał do niego zdecydowanie za daleko, postąpił lewą nogą do przodu, wpadł stopą w zrobiony przez Anielkę dołek i poleciał głową do przodu prosto w zaspę.

Śnieg tego dnia był świeży, puszysty, nie ucierpiało więc nic poza dumą wojownika. Wojtek podniósł się szybko i obrzucił dziewczynki groźnym spojrzeniem, na wypadek gdyby któraś z nich chciała złośliwie skomentować to wydarzenie. Obie jednak natychmiast dostrzegły coś interesującego w chmurach nad podwórkiem. Obrócił się więc i pobiegł za frankijskim rycerzem, który w międzyczasie przestał uciekać i skakał po śniegu, śmiejąc się głośno.

Dziewczęta zachichotały.

- Aniel! Pranie! - dobiegł ich z domu krzyk pani Mikołajowej. - Ile razy mam ci powtarzać, głupia dziewczyno...

Czarnowłosa nie słuchała dalej. Odepchnęła się od ściany domu.

- Anielaaa... - zaburczała, przedrzeźniając głos gospodyni. Kasia wystawiła język, zrobiła głupią minę i zawtórowała: - Anielaaaa...

Idę już, ty stara wiedźmo, pomyślała otwierając przed sobą drzwi. Mikołajowa nie powiedziała prawdy, gdy na pytanie Ireny odparła, że czarnowłosa jest znajdą. Aniel nie pamiętała skąd pochodzi, jej wspomnienia sprzed momentu, gdy trafiła do tego gospodarstwa były mętne. Pamiętała jednak szczupłego, młodego mężczyznę, który trzymał ją za rękę gdy zbliżali się do chaty Mikołaja, niecałe trzy lata temu. Pamiętała, że Mikołaj giął się w ukłonach przed tym człowiekiem, który mógłby być jego synem. Pamiętała delikatny dotyk dłoni na swoich włosach. Pożegnanie. A później oddalająca się coraz bardziej sylwetka na drodze do grodu Trzciny.

Mikołajowa przez kilka pierwszych tygodni odnosiła się do niej grzecznie, choć z rezerwą. Dopiero później, gdy nabrała pewności, że poprzedni opiekun dziewczynki nie wróci prędko, zaczęła pozwalać sobie na złośliwości i przydzielanie prac domowych, cięższych niż innym dzieciom.

Tak, stara wiedźmo. Pamiętam dobrze, skąd tu się wzięłam. Kiedyś odejdę. Odnajdę go. I wszystko mu opowiem.

- I co powiecie, wilczarzu? - rzucił sołtys jakby od niechcenia.

Mikołaj burknął pod nosem, że wilczarze to jego psy, a nie on, ale zrobił to na tyle cicho, by nikt nie usłyszał. Jeszcze raz spojrzał na kobietę. Ona nic nie mogła powiedzieć, ale jej wygląd wyjaśniał wszystko. Dziura w jej szyi ciągnęła się od dolnej szczęki, aż po obojczyk. Krew z przeciętej tętnicy zbryzgała nie tylko śnieg, ale i odległy o ładne parę metrów pień brzozy. Wyglądało to tak, jakby coś chwyciło ją zębami za gardło i rzuciło z rozmachem, jak szmacianą lalkę, wyszarpując przy tym wielki kawał mięsa. Było to nieprawdopodobne - bo cóż mogło mieć taką siłę? niedźwiedź? - ale jedyne sensowne wytłumaczenie. Wszędzie dookoła walał się chrust, widać zbierany przez kobietę tuż przed jej śmiercią. Pod butami Mikołaja i sołtysa co raz pękał jakiś patyk. Pod kopytami stojącego nieopodal konia nic nie pękało, bo siedzący na nim wojownik trzymał wierzchowca z dala od trupa i chrustu. Koń drobił i rzucał głową, wyraźnie zaniepokojony zapachem krwi.

- Powiem, że jak to był wilk, to Krak moim bratem. - Mikołaj pochylił się nad tym, co zostało z zabitej kobiety. - Są ślady zębów tu... i tu. To nie mógł być wilk, nie przy tym rozstawie szczęk. Niedźwiedź?... Może. Ale niedźwiedź machnąłby łapą na odlew i uciekł, a nie zjadał wnętrzności...

- Bardzo głodny niedźwiedź. Wściekły. - rzucił konny. Mikołaj kiwnął niepewnie głową.

- Być może. Ale ślady nie pasują do niedźwiedzia. Bardziej jak wilk. Gdyby nie były takie wielkie.

- Śnieg padał. Zatarły się.

Mikołaj znowu kiwnął głową. Z Rochem z Lipowej nie było dyskusji. Woj z dziada pradziada, na każdego niepasowanego patrzył z góry i uważał za głupca. Mikołaj uczył się tropić drapieżniki odkąd skończył pięć lat, a miał ich teraz już ponad czterdzieści, nawet nie

pamiętał dokładnie ile. Ale jak woj mówi, że niedźwiedź, to niechybnie niedźwiedź. Choćby i wściekły, i na wilczych łapach.

- To co, panie zbrojny? - burknął, tym razem głośno. - Biorę psy i próbujemy obławy?

Koń Rocha parsknął, cofnął się o krok i okręcił wokół własnej osi. Wojownik ścisnął go mocniej kolanami i zaklął.

- Jutro na godzinę przed wschodem słońca! - krzyknął przez ramię, odjeżdżając. - I zróbcie z tym porządek do tego czasu!

Gdy wojownik był już dostatecznie daleko, by tego nie widzieć, sołtys splunął za nim głośno.

- No i masz, jaki sprytny. Nawet ze śmierci biednej kobieciny będzie miał pożytek. Polowanie poprowadzi, niedźwiedzia-ludojada złapie, sława i mir na niego, a cała czarna robota to my, kmiecie. - spojrzał przeciągle na Mikołaja, jakby upewniając się, że ten nie ma nic przeciwko policzenia go za towarzysza niedoli. - Ale co zrobić. Pochować ją trzeba. Babcia sama tego nie robi.

- Babcię? - Mikołaj podniósł wzrok na stojącą w oddali chatę. Niska, na wpół wkopana w ziemię, o uginającym się pod własnym ciężarem, słomianym dachu, wyglądała jakby próbowała schować się w śniegu przed spojrzeniem tropiciela.

- Ano. Dzieciaki z całej okolicy tak ją zwały. Przychodziły do niej, bo zawsze coś smacznego upichciła i poczęstowała. Wasze na pewno też ją znają, mimo iż daleko mieszkacie. Znałeś jej męża. I syna...

- Znałem. - tropiciel uciął ten wątek szybko. Westchnął ciężko i sięgnął po przygotowaną zawczasu płachtę materiału. Samo zbieranie zakrwawionych szczątków to paskudna robota, a czekało ich jeszcze kopanie grobu w zmarzniętej ziemi.

Poranek wstał mroźny. Gdy Aniela wychodziła z domu, tylko niebieska linia wzdłuż południowo-wschodniego horyzontu nieśmiało sugerowała, że gdzieś tam pod spodem jest słońce. Powietrze było krystalicznie czyste, suche i ostre. Wdzierało się do płuc, przyprawiając o ból zatok.

Tupnęła kilka razy, by lepiej ułożyć stopy w wysokich do kolan, dość niewygodnych muklukach, a następnie mocniej naciągnęła na twarz kaptur swojego płaszcza. Płaszcz był wełniany, jasnoszary i niesamowicie ciepły. Spinał się z przodu na małe, drewniane kołeczki i sięgał niewysokiej dziewczynce aż do kostek. Aniela najchętniej cała by się w nim schowała,

ale niestety wiklinowy koszyk nie mieścił się pod grubym materiałem i trzeba było go nieść przed sobą.

Spojrzała przed siebie. Mikołaj, w obszytej futrem kurtce, z nożem u boku i rogiem przewieszonym przez ramię, przykucnął przed Rudym, przewodnikiem sfory. Pozostałe psy otaczały człowieka ciasnym kołem i ujadły głośno, podekscytowane. Mikołaj wiązał Rudemu na szyi grubą, jaskrawo-czerwoną szarfę. Dzięki temu uczestniczącym w obławach łucznikom łatwiej było dostrzec, że przemykająca w chaszczach czworonoga bestia to olbrzymi pies na wilki, a nie ścigane zwierzę. Często jednak i to nie pomagało, zwłaszcza gdy myśliwi byli poddenerwowani, zmęczeni, albo wypili wcześniej dla dodania sobie animuszu. Dlatego Mikołaj przed każdym polowaniem martwił się i burczał bardziej niż zwykle. Robił co mógł, ale i tak istniało spore niebezpieczeństwo, że któryś z jego ukochanych psów nie wróci żywy.

Aniela podeszła bliżej. Jej płaszcz był podarunkiem od starego gospodarza i wiedziała, że Mikołaj ucieszy się, widząc że ma go na sobie.

- Witam, panie ojcze! - powiedziała głośno, starając się przebić przez kakofonię wesołych szczeknięć.

Mężczyzna spojrzał na nią, lekko zdziwiony. Podrapał Rudego po łbie i sięgnął do pasa po kolejną szarfę.

- A co ty tu robisz? - spytał, przywołując do siebie następnego psa. Kudłaty pysk sam wsunął mu się w rękę.

- Idę do Lipowej na targ, po przepiórcze jaja.

- O tej porze?

- Pani matka kazała. Rano większy wybór, a do Lipowej daleko... No i śnieg i lód na drodze, to muszę iść powoli.

Gospodarz pokręcił głową. Nie było tajemnicą, że nie układało mu się w małżeństwie. Mrukiwy, powolny w ruchach Mikołaj, łatwo dawał się zakrzyczeć swojej żonie. Lubił Anielę, często przynosił jej drobne podarunki, ale nie potrafił wymóc na małżonce, by ta traktowała małą lepiej. Aniela pamiętała tylko o jednej kłótni między nimi, gdy Mikołaj postawił na swoim - kłótni o nią. Kilka miesięcy po jej przybyciu, wieczorem, po kolacji, gdy dzieci już leżały w łóżkach, usłyszała z głównej izby podniesione głosy. Najpierw gospodyni krzyczała, że trzeba natychmiast wyrzucić "tę przybłędę". Mikołaj odpowiedział coś cicho, w swój zwykły, burkliwy sposób. Na moment zaległa cisza, a następnie kobieta rozplakała się. Po tym dniu jej

nastawienie do Anieli nie uległo zmianie, a jeśli już, to jeszcze bardziej się pogorszyło, ale stara Mikołajowa nigdy więcej nie powiedziała, że dziewczynka powinna opuścić ich dom.

Mikołaj skończył wiązać szarfę, wstał i spojrzał na małą z góry.

- No to... trudno. - bąknął. - Jak będziesz już w Lipowej... idź do karczmy i weź od Bartłomieja gorącego miodu dla siebie. Powiedz, że najpóźniej pojutrze ureguluję rachunek.

- Dziękuję, panie ojcie. - dziewczynka dygnęła.

- I uważaj na siebie. Nie pozwól, żeby ktoś cię zaczepiał.

- Jakby ktoś próbował, to... - urwała, widząc grymas niezadowolenia na twarzy gospodarza.

- No to właśnie nic. Nie pozwól. - zmarszczył brwi. - Już mi wieczorem Kasiula wykladała twój pomysł, jak to można pobić silniejszego robiąc tak, żeby sam się uderzył. Wiem, że coś pokręciła, ale... Anielko... I tak baby we wsi gadają, że czarownicę w domu chowam.

Zamyśliła się.

- Mogłabym... mogłabym pobiec skrótem... nikogo bym nie spotkała i... - Mikołaj machnął ręką, uciszając dziecko.

- I przebyłabyś całą drogę w godzinę, zamiast trzech.

- To dobrze, prawda?

- Nie, jeśli jesteś jedenastoletnią dziewczynką. Nie chcę więcej plotek. - uciął dyskusję.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Mikołaj nie pierwszy raz zdumiał się jak bardzo poważne i dorosłe było to spojrzenie.

- Panie ojcie. Ja tylko w rozmowie z panem pozwalam sobie mówić bardziej otwarcie. Baby we wsi gadają, ponieważ mam czarne włosy, a nie jasne, jak wszyscy w okolicy. Nie ma innych powodów do plotek.

Mikołaj zmieszał się trochę. Och, do diabła, pomyślał. Przecież to tylko dziecko.

- No, idź już. Daleka droga przed tobą. Miłego dnia. - uśmiechnął się pod wąsem.

Dziewczynka ponownie dygnęła.

- Dziękuję, panie ojcie. Mam nadzieję, że polowanie będzie udane.

Obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę bramy.

- Jeszcze jedno... - mruknął. Przystanęła i obróciła się w miejscu. Mikołaj ukląkł i pogłaskał łeb stojącego przed nim psa. Westchnął głośno. - Wróć jeszcze do domu. Weź z pieca pół bochenka. Gdy będziesz wracała, wstąp do starej Wierzechowej. Przekaż jej ode mnie pozdrowienia i wyrazy szacunku.

Aniela dygnęła ponownie. Mikołaj spoglądał za nią jeszcze przez chwilę, po czym wrócił do wiązania szarf. Psy tłoczyły się dokoła, dopominając o pieszczoty.

Biegł przez las, potykając o kamienie i korzenie drzew, znacząc gałęzie i korę krwią z setki zadrapań. Jego brodę boleśnie szarpały gałązki krzewów, kubrak był brudny i rozdarty w kilku miejscach. Dyszał głośno otwartymi ustami, zmęczony ponad wszelkie wyobrażenie, lecz biegł dalej. Co kilkanaście sekund, gdy musiał zwolnić, by przedrzeć się przez kolejne haszcze, odwracał głowę do tyłu. Za każdym razem daremnie. Obecność jego prześladowcy dało się stwierdzić jedynie po głośnym trasku łamanych gałęzi. Gęsty las nie pozwalał dojrzeć niczego.

Z początku wydawało się, że polowanie rzeczywiście będzie udane. Rudy szybko złapał trop, a za nim poszła reszta sfory. Światło słoneczne z trudem przebijało się przez leśną gęstwinę, lecz ujadanie psów w zupełności wystarczało, bo zorientować się w kierunku pogoni. Roch z Lipowej szybko wysunął się na prowadzenie na swojej klaczy. Koń, nieduży, krępy, przyzwyczajony do leśnych pościgów, z łatwością dawał sobie radę na nierównym terenie. W prawie nadprzyrodzony sposób unikał wystających korzeni drzew i zamaskowanych króliczych nor i błyskawicznie oceniał, czy jego jeździec zmieści się pod gałęzią, pod którą mieli zamiar przebiec. Już po kilku minutach Mikołaj nie miał wątpliwości, które z tej pary odznacza się większą inteligencją.

Ale i Rochowi trzeba było oddać sprawiedliwość. Może i był chępliwy i głupi jak but, ale też szczerze pragnął upolować swojego niedźwiedzia, a nie tylko kryć się za plecami kmieci, a później sobie przypisać całą zasługę.

Gdyby tak zrobił, być może żyłby dłużej.

Mikołaj najpierw usłyszał rzenie konia, a zaraz później zduszony krzyk wojownika i przeciągły ryk... ryk czegoś, co na pewno nie było niedźwiedziem. Spojrzał na sołtysa i jego trzech synów, wyszarpnął zza pasa swój szeroki nóż i puścił się biegiem w stronę, z której dobiegł hałas. Wśród gałęzi mignęły mu trzy czerwone szarfy - to psy biegły w jego kierunku z podkulonymi ogonami. Trzy... a gdzie reszta?

Nagle usłyszał bolesne skomlenie, dobiegające z chaszczy przed sobą i coś aż ścisnęło go w gardle. Kątem oka dojrzał jak jeden z synów sołtysa zakłada strzałę na cięciwę. Rzucił się w

bok, chcąc jak najszybciej obieć krzaki, a równocześnie nie wejść na linię strzału. Odgarnął gałęzie, przebił się na drugą stronę...

Trup Rocha leżał rozciągnięty na całej długości niewielkiej polanki. Za nim, na boku, leżała jego klacz z rozprutym brzuchem i łbem wygiętym pod nienaturalnym kątem. Mikołaj stanął jak wryty. Psy wyprzedziły go, rozbiegły się po polance. Jeden z nich przeskoczył martwą klacz, szczekając głośno wpadł w krzaki za jej trupem... i zamilkł.

- Do mnie! - wrzasnął. Dwa pozostałe na polance psy cofnęły się o krok i zaczęły głośno ujadać, zwrócone pyskami w stronę kępy krzaków, w których zniknął trzeci. Krzaki poruszyły się i wyleciała z nich zakrwawiona psia głowa. Uderzyła o bok końskiego trupa i potoczyła się po trawie.

Krzaki poruszyły się ponownie. Coś stojącego na dwóch nogach, lecz większego od człowieka, zaczęło przedzierać się przez zarośla w stronę nadbiegających łuczników.

- Nie! Zawracajcie! - ryknął Mikołaj, wściekle machając rękami. Nadbiegający mężczyźni też zobaczyli już nacierającą na nich sylwetkę. Nałożyli strzały na cięciwy i wystrzelili w tym samym momencie. W następnej chwili czarno-szary olbrzym zwałił się na nich, porwał w potężne, dwukrotnie dłuższe od ludzkich ręce, nie tracąc prędkości podniósł jak gdyby nic nie ważyli i skoczył, kryjąc się w kolejnej kępie drzew. Mikołaj usłyszał wrzask bólu.

Sołtys i jego najmłodszy syn zginęli niecałą minutę później, w bardzo podobny sposób. Nadbiegli ścieżką, przystanęli, rozglądając się za dwoma starszymi braćmi. Potwór wyskoczył na nich z zarośli. Sołtys umarł na miejscu, trzymając się oburącz za przegryzione gardło. Jego syn cofnął się, machnął w powietrzu łukiem jak maczugą, odwrócił się, próbował uciec... Monstrum uderzyło go w plecy, powalając na ziemię, a następnie doskoczyło i dosłownie zmiażdżyło jego klatkę piersiową potężnym ciosem łapy.

Mikołaj rzucił się do ucieczki. Słyszał za sobą ujadanie psów. Miał nadzieję, że będą na tyle inteligentne, by nie atakować stwora, lecz rozbiec się po puszczy. Jeśli tak, później same wrócą do gospodarstwa, jak już to wielokrotnie miało miejsce, jeśli któryś z nich oddzielił się od reszty sfory.

Kluczył wśród drzew. Dwukrotnie zdawało mu się, że zgubił pogoń. Że uszedł z życiem z polowania, na którym z myśliwego stał się zwierzyną. Lecz wtedy gdzieś za nim trzaskała gałąź i Mikołaj zdawał sobie sprawę, że potwór wciąż tam jest. Jakby bawił się nim. Jakby czerpał przyjemność z dawania Mikołajowi złudnej nadziei.

Wypadł na drogę i ostatkiem sił, z głuchym jękiem rodzącym się gdzieś w trzewiach, ruszył pod górę. Potwór był tuż za nim. Dopadł bramy. Zamknięta od środka. Podskoczył, złapał się dłońmi za poprzeczną belkę, wzmacniającą szczyt ogrodzenia. Próbował się wspiąć, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa i ześlizgnął się z powrotem na drogę. Odwrócił się gwałtownie, tylko po to by spojrzeć w przekrwione, żółte oczy i poczuć na twarzy gorący oddech... Dopiero wtedy uświadomił sobie, co zrobił.

Wyprawa na drugi koniec wsi obyla się bez przygód. Nikt jej nie zaczepiał, choć na drodze złowiła kilka nieprzychylnych spojrzeń niebieskich oczu. Niczego innego nie można było spodziewać się po chłopach, którzy nigdy w życiu nie byli dalej niż w położonym o trzy dni drogi grodzisku, a o Wawelu słyszeli z opowieści. Człowiek mógł przewędrować całe pogranicze ze wschodu na zachód i na palcach obu dłoni zliczyć wszystkie napotkane osoby, których włosy nie miały koloru siana, a oczy nie były niebieskie.

Babcia leżała w półmroku, pod grubą na łokieć warstwą pledów i skór. Aniela знаła ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że staruszka już nie śpi. W palenisku płonął ogień, lecz w izbie wciąż było zimno, co oznaczało, że stara dopiero co rozpałała go na nowo, po czym wróciła do łóżka. Dziewczynka podeszła bliżej i usiadła na skraju siennika, koszyk z jedzeniem stawiając obok. Staruszka powoli obróciła się na bok, mrużąc szare oczy. Skinęła głową na powitanie.

- Babciu, czemu nie dołożycie do ognia? Szybciej by się nagrzało.

- Żeby cię lepiej widzieć, dziecko. - mruknęła niewyraźnie. - Moje oczy... lepiej widzę o zmroku, niż w mocnym świetle. W piekle jest ciemno i moje oczy już się do tego przygotowują.

Stęknęła głośno, próbując podnieść się i oprzeć o poduszkę. Aniela musiała jej pomóc.

- Sama powinnaś o tym wiedzieć, mała czarownico. - stara wyciągnęła sękaty palec, celując w oko dziewczynki i zmuszając ją do odsunięcia się.

- Nie jestem...

- Jesteś. - przerwała jej. - Mnie nie okłamiesz. Wiem, co potrafisz. - dodała, po czym rozkaszała się głośno, rozsiewając wokół kropelki śliny. Zwinęła się wpół i przez chwilę wydawało się, jakby miała spać z siennika. Po chwili wyprostowała się jednak i pomiędzy

jednym a drugim spazmem machnęła ręką w kierunku stojącego przy palenisku glinianego dzbana.

Aniela nalała kubek ciepłej, mętnej wody i podała staruszce. Ta upiła łyk, parsknęła, upiła kolejny i odetchnęła głęboko. Spojrzała na Anielę i oddała jej kubek.

- Posłuchaj mnie, dziecko... Jest na świecie takie zło, które zabiło mi córkę. Ma kły i pazury. Ryczy głośno, jest szkaradne i śmierdzące. Ludzie się go boją, ale... - machnęła ręką, jakby opędzała się od muchy. - Ludzie to twarde sukinsyny. Potrafią sobie poradzić. Zobaczysz, dziecko, przyjdzie dzień, gdy to takie potwory, jak ten, który zabił moją córuchnę, będą bały się ludzi.

Przerwała. Sięgnęła drżącą dłonią do koszyka i wydobyła z niego kromkę chleba. Ostrożnie, powoli, oderwała skórkę z jednej strony i wgrzyzała się w miękki środek. Aniela siedziała w ciszy, czekając, aż staruszka skończy jeść.

- To ludzie są największym wrogiem dla samych siebie. - podjęła stara. - Wiem co mówię. Zło rośnie w ludzkich duszach w sposób, którego nie uświadczysz nigdzie indziej. Takie zło zabrało mojego męża i mojego zięcia. Takie zło właśnie wysłało ich na wojnę, razem z twoim przybranym ojcem... No i jesteś jeszcze ty.

- Co macie na myśli?...

Staruszka sięgnęła po kolejną kromkę. Żuła chleb długo, powoli, przyglądając się Anieli.

- Idź już sobie. - powiedziała cicho w końcu. - Nie powiem ci nic więcej. Idź. Zostaw mnie z moją żalobą.

Aniela wyszła. Powietrze było mroźne, ale tylko naciągnęła głębiej na twarz swój jasnoszary kaptur ukryła dłonie w rękawach.

Zniszczoną bramę zobaczyła już z daleka. Puściła się biegiem. Mikołaj leżał w kałuży krwi na wyważonych drzwiach, ułamana deska przebiła jego plecy, płuco i wyszła z przodu dokładnie przez serce. Krew, teraz już zaschnięta, nadała jego kubrakowi czerwono-czarny kolor. Stary gospodarz szklistym wzrokiem wpatrywał się w niebo. Jego włosy i broda zawsze były jasne, lecz teraz wydawało się, że w ostatnich minutach życia Mikołaj kompletnie osiwiiał.

Zatrzymała się, zmrużyła oczy. Zanotowała w pamięci długą szramę wzdłuż prawego boku Mikołaja. Przez chwilę nasłuchiwała, po czym ostrożnie przekroczyła martwe ciało i wolnym, spokojnym krokiem ruszyła w stronę domu, okrążając postawioną przy bramie altanę na

drewno. Śnieg na podwórzu znaczyły liczne plamy krwi, tropy olbrzymich pazurzystych łap i dużo mniejsze ślady ludzkich butów. Wszystkie kończyły się na wyważonych drewnianych drzwiach.

Weszła do środka. Drzwi do głównej izby były uchylone lekko. Otworzyła je zdecydowanym pchnięciem i stanęła w progu. Ciężki, drewniany stół, na co dzień stojący pośrodku pokoju, teraz leżał przewrócony pod przeciwległą ścianą, tuż obok resztek ołtarzyka modlitewnego. Krzesła, rozbite na kawałki, walały się po całej podłodze. Wśród nich leżały cztery ludzkie ciała, trzy całe, jedno rozprute od klatki piersiowej aż po krocze. A nad nim stało monstrum, trzymając w łapie strzęp okrwawionego mięsa.

Wilkołak uniósł pysk wysoko w górę i przełknął ostatni kęs. Jego postać zaczęła się zmieniać. Pysk zmalał, wsunął się wgłąb czaszki, tułów i nogi skurczyły się, nabrały bardziej ludzkich proporcji, ogon skurczył się zniknął. Po chwili na miejscu potwora stał nagi, wysoki mężczyzna. W dłoniach trzymał bezkształtny kawał mięsa. Obrócił zakrwawioną twarz - teraz była to twarz - i wyszczerzył zęby w szaleńczym uśmiechu.

- Dziwne. Nie słyszałem jak nadchodzisz. - powiedział, zwracając się do przyglądającej mu się, dziwnie spokojnej dziewczynki. - Ach, to ty... mała wiedźma-sierotka. Jak widzisz, znowu jesteś sierotką. Właśnie zjadłem twoją macochę. Trochę żyłasta. Za to wy, dzieci... jestem pewien, że będziecie wybornym prowiantem dla mnie i mojej pani. Młode zawsze smakują najlepiej.

Jego twarz znów wykrzywił makabryczny grymas. Usta wciąż były czerwone od krwi. Aniela przechyliła lekko głowę, patrząc mu uważnie w oczy. Nic nie odpowiedziała. Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz zdziwienia, ale zaraz przegnał go, znów odsłaniając zęby.

- Zapewne widziałaś już gospodarza... - kontynuował, lekko speszony obojętnością dziecka. - Biedak... Jestem pewien, że chciał chronić swoją rodzinę, ale już na samym początku podjął złą decyzję. Sam mnie tu przyprowadził. Uciekał do miejsca, które wydawało mu się najbezpieczniejsze. Gdyby wybrał inną drogę, być może nie byłoby mnie tutaj.

Dziewczynka skinęła lekko głową, jakby potwierdzając. Wilkołak parsknął głośno.

- Dobrze, dość tego... - ostatnie jego słowa przeszły w ryk, gdy rzucił się na dziecko. W mgnieniu oka jego twarz wydłużyła się, zęby urosły, a ręce zamieniły w olbrzymie szpony. Pokonanie dzielącego ją od Anieli dystansu zajęło mu mniej niż sekundę. Wystarczająco długo, by dziewczynka zdążyła spokojnie postawić koszyk na podłodze.

Szczenięta wciąż były głodne, lecz Irena odsunęła je od siebie. Chciała odpocząć. Horacy długo nie wracał, lecz nie martwiła się o niego. Być może upolował coś dużego i teraz wlecze przez las wielkie zapasy mięsa... Irena oblizwała się na tę myśl. Może zagryzł tura, żubra, lub chociaż parę krów jakiegoś wieśniaka. Tutejsze bydło i tak jest prawie dzikie. Podobno dalej na północ pasterze puszczają swoje stada na zimę luzem, a te świetnie radzą sobie bez opieki... Nie, to byłoby zbyt piękne, tyle łatwo dostępnego mięsa w jednym miejscu... Uśmiechnęła się do siebie. Zanim opuścili swój rodzinny kraj, daleko za górami na południu, słyszeli wiele niesamowitych opowieści o północnych ziemiach, gdzie równin więcej jest niż lasów, a ludzie nie mają kłów ani pazurów i muszą pracować w polu, by utrzymać się przy życiu. Wiele z tego okazało się prawdą, więc czemu miałoby być inaczej z historią o puszcanych samopas stadach bydła? Polowania tu były łatwe, a miejscowe drapieżniki trzymały się od nich z daleka. Tylko pogoda ich zaskoczyła. Tej zimyomal nie zabiła ich własna głupota. Gdyby nie ten chłop z pobliskiej wsi, który wtedy przyjął ich pod dach, z pewnością zamrzliby gdzieś na górskim szlaku. Nie spodziewali się aż takiego zimna i tak wielkich opadów śniegu, mimo iż w ich rodzinnych stronach również zdarzały się srogie zimy. Dlatego w końcu zdecydowali się zatrzymać w jaskini, którą znaleźli wkrótce po opuszczeniu jego gospodarstwa. I tak zbliżał się już czas narodzin...

W wejściu do jaskini zamajaczył jakiś kształt. Nina podniosła głowę. Jej nozdrza rozszerzyły się, gdy gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Horacy? - nie, to nie był Horacy. Sylwetka była za niska, za drobna. Słońce oświetlało ją od tyłu, lecz już po chwili, gdy oczy wilkołaka przyzwyczały się do warunków i Irena rozpoznała czarnowłosą dziewczynkę. Aż pisnęła ze zdumienia. - Mała czarownica od naszego wybawcy... co ty tu robisz, dziecko?

I wtedy do jej nozdrzy dotarł inny zapach. Zapach krwi. Zmarszczyła brwi, zmrużyła oczy. Jeszcze raz odepchnęła od siebie domagające się uwagi i pożywienia, skomlące szczenię i wstała powoli z legowiska.

- Gdzie jest Horacy?...

- Przed wejściem. - odparła dziewczynka. Jej głos był spokojny, obojętny, nie zdradzał żadnych emocji. Na chwilę utkwiała wzrok w szczenięciu u stóp Ireny. Uśmiechnęła się lekko i spojrzała kobiecie w oczy. - Jestem pewna, że chciał chronić swoją rodzinę, ale już na

samym początku podjął złą decyzję. Sam mnie tu przyprowadził. Uciekał do miejsca, które wydawało mu się najbezpieczniejsze. Gdyby wybrał inną drogę, być może nie byłoby mnie tutaj.

- Ty?... Ale jak?... To absurd!

Anieli wzruszyła ramionami.

Irena zawyla cicho i pochyliła się do przodu. Zmiana nastąpiła błyskawicznie. W miejscu, w którym jeszcze przez chwilę stała ubrana w łachmany, brudna kobieta, teraz znajdował się dwukrotnie od niej większy potwór. Irena zaryczała przeraźliwie, głosem który nie przypominał żadnego znanego Anieli zwierzęcia, i z przerażającą prędkością ruszyła do przodu, obnażając w biegu olbrzymie kły i wyciągając półmetrowej długości szpony. Tuż przed tym, jak potężne pazury miały przebić jej ciało, a szczęki zacisnąć się na jej głowie, Aniela poruszyła się. Płynnie, prawie od niechcienia, zeszła z linii ataku. Irena wykonała lewą łapą szeroki zamach, chcąc roznieść dziecko na strzępy jednym, potężnym cięciem swoim pazurów. Poczuła niewielką dłoń, która uderzyła od dołu w jej pysk, wybijając go w górę. Palce dziewczynki zacisnęły się na dolnej szczęce wilkołaka, na ułamek sekundy zatrzymując w miejscu szkaradny łeb, podczas gdy reszta monstrualnego cielska nadal siłą rozpędu przesuwała się wprzód. Lewa łapa została przechwycona i wygięta do tyłu, wytrącając wilkołaka z równowagi. Nogi straciły oparcie, wysunęły się spod środka ciężaru ciała, gwałtownie wierzgnęły przed siebie. Irena nie zdążyła się nawet szarpnąć. Jedynie w jej umyśle, przytępionym i pełnym gwałtownych emocji, jak zawsze po przemianie, pojawiła się niewyraźna myśl, że coś jest nie tak. Ludzkie dziecko nie powinno ruszać się w ten sposób. W następnej chwili łeb Ireny zatoczył łuk i, wciąż trzymany w nieprawdopodobnym uścisku drobnej dłoni, uderzył o kamienną posadzkę. Czaszka pękła jak skorupka jajka. Jasnoczerwona, tętnicza krew bryzgnęła na kaptur, skrywający twarz Anieli.

Dziewczynka podniosła się znad trupa. Odetchnęła głęboko. Odrzuciła kaptur na plecy i rozejrzała się. Przed nią, na posłaniu ze zwierzęcych skór, tuliły się do siebie trzy szare kulki futra. Wilcze szczenięta. Popiskiwały cicho. Obok, pod ścianą, stał wędrowny kostur i wór podróżny - te same, które po raz pierwszy widziała trzy miesiące temu, w noc gdy Mikołaj uratował życie parze wędrowców.

Dzień upłynął jej na zacieraniu śladów. Pochowała obydwu monstra, choć nie była do końca pewna, po co to robi. W ich rzeczach znalazła kościane igły i nici, którymi zszyła rozdarty w dwóch miejscach płaszcz. Udało jej się też wyczyścić kaptur, a ze znalezionych na posłaniu strzępów niedźwiedziego futra zrobiła sobie ciepłą, choć paskudnie wyglądającą kamizelkę. Worek podróżny przerobiła na plecak, przyszywając do niego pionowo dwa pasy skóry. Przeszukała dokładnie jaskinię i zebrała rzeczy, które wydały jej się przydatne. Ubrania Ireny były na nią za duże i śmierdziały, lecz w głębi jaskini znalazła ludzkie kości i coś, co kiedyś musiało być Inianą koszuliną. Prawdopodobnie były to szczątki innego wędrowca, który nie miał tyle szczęścia i zamiast na chatę Mikołaja, trafił do legowiska wilkołaków. Wzięła gruby szalik i zapasowe buty, które zaraz wypchała miękkimi kawałkami materiału.

Gdy wyszła z jaskini, było już ciemno. Księżyc, w pierwszej kwadrze, wisiał nisko nad zachodnim horyzontem. Aniela zmrużyła oczy, spoglądając na niego. Widok srebrzystego globu, choć spokojny i kojący, zawsze budził w niej delikatne uczucie niepokoju. Przeniosła wzrok na szczyty gór, a później na drogę ku dolinie, widocznej w świetle Księżyca jako srebrzysty szlaczek wijący się wśród coraz to niższych wzniesień. Nie wróci już do zniszczonej chaty Mikołaja. Musiałaby przekonywać sąsiadów, że ... przecież sama nie za bardzo wiedziała, co się stało. To nie miałoby sensu. Ale gdzieś tam, na nizinach jest droga, którą trzy lata temu odszedł jej pierwszy opiekun. Kto wie, może odnajdzie go na końcu tej trasy. Jest jej winien kilka odpowiedzi.

Zło przybiera różne postaci. Może być szkaradne, monstrualne, obnoszące się z potwornymi kłami i pazurami, gotowe mordować i niszczyć. Przed takim złem ludzie drżą, uciekają przed nim, a czasem potrafią się zorganizować i dać mu odpór. Lecz jest też zło innego rodzaju, niewidoczne dla niewprawnego oka, ukryte w rzeczach prostych i zwyczajnych. Ludzie nie zauważają go, nie zdają sobie sprawy z jego istnienia, a ono powoli drąży ich dusze, przedostaje się do ich świata, przejmując ich umysły i wolę. Jest to siła, przy której nawet najpotworniejsze monstra są tylko dziecięcymi strachami spod łóżka.

Aniela ujęła kostur mocniej w dłoń i ruszyła przed siebie. Prowiant, trzy zawiniątka pełne świeżego, surowego mięsa, przyjemnie ciążyły w plecaku.

Published July 2012

ISBN: 978-83-935358-1-1

<http://makingthematrix.wordpress.com/mkbc>

<http://leafofsteel.deviantart.com>

This book is a work of fiction. Names, characters, places and incidents either are products of the author's imagination or are used fictitiously. Any resemblance to actual events or locales or persons, living or dead, is entirely coincidental.

Fan fiction and fan art is encouraged.



WYSZŁA Z DOMU I NIE WRÓCIŁA

<http://makingthematrix.wordpress.com/mkbc>